



por. „Szary” Stanisław Silkiewicz



„Orzeł I” Bohdan Bargielski



„Zbych” Zbigniew Bargielski



„Tadeusz” Tadeusz Pietraszek

Wiosną 1943 roku zebrał nas wszystkich „Sławicz” na odprawę. Poinformował, że zalegalizowano nas jako podchorążych. Odczytał nam rozkaz, z którego wynikało, że jesteśmy pierwszym plutonem, pierwszej kompanii batalionu im. Kilińskiego. My, jako kadra, od tego momentu podlegamy bezpośrednio jemu, tzn. „Sławiczowi”, jako dowódcy drużyny. Porucznik „Budrys” jest nadal naszym dowódcą plutonu. Porucznik „Szary” – dowódcą kompanii. Podpisano – rotmistrz „Leliwa”. To był początek nowego okresu w pracy konspiracyjnej.

Wkrótce odbyło się spotkanie, na którym poznaliśmy pozostałych kolegów z naszej drużyny. Nastąpił podział na poszczególne sekcje. „Skorobohaty” i ja („Skala”) zostaliśmy sekcijnymi. Nowe postacie, nowe twarze, nowe zadania. Nowi koledzy to: „Różyczka” – zastępca dowódcy drużyny, „Lord”, „Orzeł I” i „Zbych” (bracia Bargielscy), „Andrzej” (Andrzej Nitkowski), „Tadeusz” (Tadeusz Pietraszek), „Vis” (Janikowski), „Jary” (Gąsiorowski), „Kordian”, „Kartacz”, „Ostroga” (Zbigniew Swidziński, Londyn). Zaczęło się teraz normalne szkolenie. My sekcjni musieliśmy dać lokale na cele szkoleniowe. Już moja Matka wiedziała, że należę do organizacji podziemnej. Pogodziła się z losem i sama niepostrzeżenie została do tej pracy włączona. Czyściliśmy wspólnie z moją Matką amunicję karabinową wydobytą z lasu, dokonywaliśmy wiele drobnych czynności dla potrzeb organizacji. „Sławicz” i porucznik „Budrys” sami zresztą nawiązali z moją Matką jakieś kontakty. Nastąpiło jakieś porozumienie, którego ujemne skutki wkrótce sam odczułem. Mianowicie dla mnie i moich kolegów czasami brakowało miejsca w moim domu, bo Matka udostępniła nasze mieszkanie wyższym szarżom. Musiałem dopiero uzgadniać z własną Matką dni i godziny, w których będę mógł korzystać z któregoś z pokoi (a było ich pięć), bo muszę przeprowadzić wykłady i ćwiczenia ze swoimi.

Kolega „Skorobohaty” swoją sekcję przyjmował u siebie na Brackiej. Bargielscy na Sosnowej i na Złotej. Wszyscy na szczęście mieli duże mieszkania. Jednak wkrótce okazało się, że moje mieszkanie na Raszyńskiej jest najbardziej dogodne. Zaczęło się od tego, że „Sławicz” z „Kordianem” przytargali do mnie na wykład karabin. Bardzo ładnie zapakowany, pozostał jednak nawet w opakowaniu karabinem. Matka widziała to, nie zemdląca. Była tylko bardzo zdenerwowana. Zaczęły się do mojego mieszkania schodzić na szkolenie o broni inne sekcje. I ta z Brackiej i ta ze Złotej. Wkrótce wszystko się wyjaśniło. Oczywiście, że tylko ja i „Skorobohaty” oraz Tadeusz zostaliśmy wtajemniczeni.

Obecnie dla ludzi z młodego pokolenia jest rzeczą zupełnie obojętną w którym sklepie kupują potrzebne im przedmioty codziennego użytku. Będzie to albo MHD albo PHD „Nabiał i Pieczywo”, sklep nr 178 i to już wszystko. Natomiast dla nas, ludzi starszego pokolenia, za czasów naszej młodości nie było to obojętne. Czekolada była od Wedla, obuwie od Bata. Nie było znane pojęcie „Bar Mleczny”

numer taki to a taki. Była „Nadświeżańska” a mleko z „Agrilu”. Jedną właśnie z takich znanych w Warszawie firm była Firma Imroth-Maliński – handel detaliczny i hurtowy – farby i lakiery. Sklep przy ulicy Marszałkowskiej. Filia tej firmy mieściła się w lokalu z obszernym magazynem na zapleczu, przy ulicy Srebrnej. Wejście do kantorku było od Placu Kazimierza (obecnie Dom Słowa Polskiego). Zbyszek Maliński, nasz „Sławicz”, był synem współwłaściciela i prowadził właśnie tę filię. Równolegle z oficjalną działalnością handlową firmy prowadzono ożywioną działalność dla potrzeb organizacji podziemnej. Mieścił się tam magazyn broni naszego batalionu. Był doskonale usytuowany. W centrum dzielnicy handlowej, gdzie przez cały dzień panował ożywiony ruch i nikt nie zwracał najmniejszej uwagi na wnoszone i wynoszone ze sklepu torby, paki, beczki i skrzynie. W jednych były farby klejowe, w innych pistolety maszynowe. Nikt niczemu się nie dziwił, bo każdy coś taszczył, czymś handlował lub coś kupował. Ponieważ mieszkam dość blisko tego magazynu (Plac Zawiszy), wystarczyło tylko odbyć krótką drogę pokonując niebezpieczne przejście przez wiadukt na Towarowej i już był mój dom. Razem ze Zbyszkiem („Sawiczem”) pracował „Kordian”. Obaj więc dostarczali do mojego mieszkania broń i uzbrojenie dla celów dydaktycznych i zabierali to później z powrotem. Ja, „Tadeusz”, „Skorobohaty” i „Ostroga” zostaliśmy przez Zbyszka wtajemniczeni i pomagaliśmy mu, wykonując różne zlecenia. Czasami trzeba było coś dopilnować, czasami odnieść do naprawy jakiś zepsuty zamek od karabinu lub oczyścić zardzewiałą amunicję.

I tak dochodzimy do okresu, który poprzedzał o kilka miesięcy wybuch Powstania. Wczesna wiosna i lato 1944 roku. Często były różne alarmy, odrywano mnie od pracy. Wyglądało to w ten sposób, że przychodził po mnie ktoś i zabierał ze sobą. Szliśmy na Srebrną. Tam „Sławicz” wydawał nam uzbrojenie (broń krótką). Zostawialiśmy swoje dokumenty i wychodziliśmy znów na miasto. Przez godzinę lub dłużej sterczeliliśmy w jakimś punkcie. Na przystanku tramwajowym, w bramie. Na coś czekaliśmy. Oprócz nas byli jeszcze nieznani nam młodzieńcy, tak samo jak i my znudzeni, wyczekujący na coś. Po pewnym czasie odwoływano całą akcję. Wracaliśmy aby zdać broń i odebrać swoje dokumenty. Stanowiliśmy prawdopodobnie jakąś ochronę dla ważnych osobistości, które obradowały na jakimś wysokim szczelblu. Powroty z takich akcji nie zawsze przebiegały sprawnie. Czasami ze względu na panujący na mieście niepokój trzeba było gdzieś przeczekać, aby nie pchać się z bronią w niepotrzebną awanturę. Byliśmy kiedyś w okolicy Placu Napoleona. Na ulicy Mazowieckiej wybuchła nagle jakaś strzelanina. Kazano nam się natychmiast rozejść. Słychać było już wycie syren! Co miałem robić? Wszyscy się już gdzieś ulotnili. Poszedłem do pracy. Było najbliżej (Szpitalna 12) i najrozsądniej. Powiesiłem swój płaszcz w szafie i przystąpiłem do pracy. Moja obecna żona też tam wtedy pracowała. Poszła po coś do szafy,



„Jary” Mirosław Gąsiorowski



„Kordian” Władysław Manugiewicz